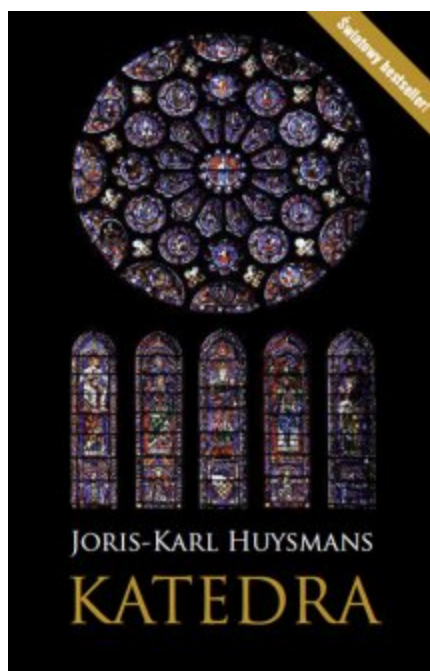


Katedra - Joris-Karl Huysmans

Durtal znał ten rozkoszny moment, gdy oddech wraca zaskoczony nagłym wyjściem z porywów północnej wichury ku aksamitom pieszczotliwego fluidu. Każdego poranka o piątej wychodził z mieszkania i przechodził przez ten placyk ku podnóżom osobliwego lasu. I zawsze te same postacie wyłaniały się z tych samych uliczek.



Joris-Karl Huysmans

Katedra

rok wydania: 2017

Instytut Globalizacji

tłum. Marcin Masny

W Chartres, gdy umkniemy już z placyku, po którym bez ustanku miota się gniewliwy wiatr z równi i gdy zagłębimy się w prastare mroki chłodnego lasu, naraz gładzi twarze łagodny piwniczny, oleisty powiew, zduszony niemal i miękki.

Durtal znał ten rozkoszny moment, gdy oddech wraca zaskoczony nagłym wyjściem z porywów północnej wichury ku aksamitom pieszczotliwego fluidu. Każdego poranka o piątej wychodził z mieszkania i przechodził przez ten placyk ku podnóżom osobliwego lasu. I zawsze te same postacie wyłaniały się z tych samych uliczek. Zakonnice ze spuszczoneymi głowami, pochylone naprzód, z czepcami wywiniętymi, trzepotliwymi, przytrzymywały pracowicie habity szarpane natarczywą wichurą. A za nimi zgięte w pół stare kobiety okutane w znoszone odzienie, przyciskając łachy do siebie brnęły pochylone, smagane porywami. Durtal nigdy jeszcze nie widział o tej porze kogoś, kto by maszerował wyprostowany z podniesionym czołem. A te rozproszone kobiety w końcu ustawiały się w dwa szeregi i gęsiego skręcały: te szły w lewo znikając w oświetlonej kruchcie otwartej od dołu na plac; a tamte krocząc naprzeciw nich zanurzały się w noc niewidzialnej ściany.

Zapóźnieni duchowni zamykając spieszny pochód przyglądali jedną dłonią suknie kapłańskie wydęte jak balony, w drugiej zaś ściskali kapelusze. Wciąż poprawiali brewiarze wysuwające się spod pach. Schyleni, z brodą wciśniętą w pierś, pruli potylicą nawałę wiatru. Z pokraśniałymi uszami, ślepi od łez, księża rozpaczliwie trzymali się parasoli, gdy padało, a te wywijały naokoło nich miotając właścicielami we wszystkie strony i grożąc porwaniem w przestworza.

Tego poranka jeszcze trudniej niż zwykle było przemierzyć plac. Niepowstrzymana wichura szalała po równinach krainy Beauce, prastarej Belsji. Od wielu godzin wyła bez przestanku. W równinnej Belsji padało, więc stopy taplały się w kałużach. Mało co było widać. Durtalowi wydało się, że nie zdoła przebić się przez zwalistą masę muru przegradzającego plac, aż wreszcie pchnął drzwi, poza którymi wyłonił się ów osobliwy las, osłonięty od wiatru, pachnący oliwną lampką i grobem.

Westchnął z zadowoleniem i poszedł bezkresnym szpalerem majaczącym w mroku. Chociaż znał drogę, podążał ostrożnie aleją wytyczoną ogromnymi drzewami o wierzchołkach niknących w ciemności. Można byłoby pomyśleć, że to cieplarnia nakryta czarnym szkłem. Szło się po płytach, nie widać było ani skrawka nieba, żaden powiew nie poruszał powietrza. Jakieś gwiazdy, które w oddali pobłyskiwały, nie były częścią nieboskłonu, bo iskrzyły się na wysokości posadzki, płonęły po prostu na ziemi. W tym mroku było słycać zaledwie szmer kroków. Dostrzegało się tylko bezgłośnie cienie rysowane najciemniejszymi kreskami nocy na tle szarówki.

Durtal wreszcie dotarł do drugiej wielkiej alei, poprzecznej. Tam odnalazł ławkę opartą o pień i czekał na przebudzenie Matki, aż powróci czas słodkich posłuchań przerwany poprzedniego dnia nadejściem nocy. Rozmyślał o Dziewicy, której czujne zatroskanie tyle razy uchroniło go od niespodzianych niebezpieczeństw, zbyt łatwych błędów, wielkich upadków. Czyż nie jest Ona bezdenną Studnią Dobroci, Dawczynią darów rzetelnej Cierpliwości, furtianką i kołową oschłych i zamkniętych serc; czyż nie jest nade wszystko Matką zakrzętaną i błogosławioną?

Zawsze pochylona nad obłożnie schorzałymi duszami, obmywała rany, opatrywała skaleczenia, umacniała omdlewające nawrócenia. Na skroś wieków pozostawała wiekuiastą orantką wieczyście zarazem wysłuchując cudzych błagań; miłosierną zarazem i wdzięczną. Miłosierną dla nieszczęść, w których niosła ulgę i wdzięczną względem nich. W gruncie rzeczy była dłużniczką naszych występków, bo bez człowieczego grzechu Jezus nie byłby się wcale narodził pod naszą skłoną do grzechu postacią, a jakiegoż by Ona Boga była wtedy niepokalaną Rodzicielką? Nasza bieda była zatem najpierwszą przyczyną Jej radości i niezawodnie żadna tajemnica nie zbijała bardziej z tropu niż to najwyższe Dobro poczęte właśnie z rozpasanego Zła, niż ta dojmująca a przesadna więź, która nas z Nią spajała, Jej wdzięczność bowiem mogła wyglądać na nadmierną, skoro Jej niewyczerpanego miłosierdzia dość było, by nas na zawsze z Nią spętać.

Odtąd za sprawą cudownej pokory udzieliła tłumom przystępu do siebie; w rozmaitych stuleciach wylaniała się w najróżniejszych miejscach, a to wychodząc jakby spod ziemi, a to muskając przepaście, a to zstępując na odludne szczyty górskie. Wiodła za sobą ludzkie hufce, uzdrawiając; wreszcie jak gdyby znużona wdzięcznością adoratorów postanowiła – zda się – zgromadzić wszystkich w jednym miejscu, opustoszyła swe posiadłości, którymi była dotąd wywianowana, aby zaludnić Lourdes.

W XIX wieku to miasteczko było drugim etapem Jej wędrówki przez Francję. Pierwszą wizytę złożyła w La Salette.

O tamtego czasu minęły całe lata... W sobotę, 19 września 1846 roku Panna Najświętsza ukazała się dwojgu dzieciom na górze. Sobota była Jej poświęconym dniem tygodnia, a nadto tego roku dniem pokutnym z racji Suchych Dni wrześniowych. Tamta sobota – co za zbieg okoliczności! – poprzedzała święto Matki Boskiej Siedemkroć Bolesnej, której pierwsze nieszpory właśnie się zaczynały, gdy Maryja wynurzyła się ze świetlistej łupiny ponad ziemią.

Ukazała się jako Płacząca Madonna w tym odludnym pejzażu, na tych zawziętych skałach, pośród tych posępnych gór. Szlochając wypominała i groziła. Odtąd też nieprzerwanie tryska ze źródła woda,

która – jak pamięcią sięgnąć – spływała tylko w porze roztopów. Rozgłos zdarzenia był ogromny. Niezmierna ciżba ciągnęła zapierającymi dech w piersiach drózkami na wysokościach, na których nie rosną już drzewa. Ludzie – nie wiedzieć jakim cudem – prowadzili ponad otchłaniami karawany z chorymi i konającymi, ci zaś pili wodę ze źródła, a ich kalekie ciała zdrowiały i guzy znikwały od dźwięku psalmów. Potem pomału, po podłych dyskusjach haniebnego procesu, moda na La Salette odpłynęła. Pielgrzymek ubyło. Cuda coraz rzadziej się potwierdzały. Wydawało się, jakby Najświętsza Panienska odeszła, przestała się interesować tym źródłem pobożności, tymi górami.

Obecnie przybywają już niemal tylko mieszkańcy Delfinatu, zabłąkani w Alpach turyści, chorzy zjeżdżający do pobliskich wód mineralnych w La Mothe. Tylko oni wspinają się do La Salette. Dużo jest wciąż nawróceń, łask duchowych, lecz uzdrowień cielesnych prawie nie ma.

W sumie – myślał sobie Durtal – objawienie w La Salette stało się głośne nie wiedzieć, jak. Można to sobie następująco wyobrazić. Rozgłos pojawia się najpierw w miasteczku Cors u stóp góry, a potem rozchodzi się po całym departamencie, po sąsiednich prowincjach, sączy się przez całą Francję, wycieka przez granice, szerzy się w Europie, wreszcie przeprawia się przez morza i dociera do Nowego Świata, który doznaje wstrząsu i też kieruje się ku tej pustaci, aby głośić chwałę Najświętszej Dziewicy.

Warunki tych pielgrzymek musiały odstręczać nawet najwytrwalszą wolę. Zanim dotrze się do pomieszczeń gościnnych zawieszonych obok kościoła, trzeba godzinami znosić leniwy bieg pociągu, przetrzymać liczne przesiadki, całe dni podróżować dyliżansami, nocować w zapchlonych stajniach i oberżach, na najbardziej niesamowitych posłaniach torturować grzbiet niczym na maszynie tkackiej, o świcie ruszać w niebywałe wspinaczki pieszo lub na grzbiecie muła, po serpentynach, ponad przepaściami; i wreszcie – skoro już się dotrze na miejsce – nie ma ani świerków, ani buków, ani łąk, ani strumieni. Nic nie ma, tylko absolutna pustka, cisza nie zmacona nawet krzykiem ptaków, bo na taką wysokość ptaki nie przyfruwają!

Co za widoki! – rozmyślał Durtal przywołując wspomnienie podróży, którą podjął po powrocie od trapistów w towarzystwie księdza Gévresin i jego gosposi. Wspominał przerażenie miejscem, które przebywali między Saint-Georges de Commiers i La Mure, przestrach w wagonie, kiedy pociąg powoli przejeżdżał nad czeluściami. W dole noc zapadała spiralami w ogromne studnie. W górze – jak okiem sięgnąć – pięły się ku niebu masywy gór. Pociąg wspinał się dysząc i kręcąc się w kółko niby bąk, zjeżdżał do tuneli, zanurzał się pod ziemię, zdawał się pchać przed sobą światło dnia. Potem pogrążał się nagle w radosnym świetle, powracał na dawny szlak, znowu krył się w jamie, wydobywał się z niej z przenikliwym gwizdem i ogłuszającym turkotem kół, toczył się po wirażach wykutych w żywej skale, po zboczach gór.

I oto nagle szczyty znikły, ogromna błyskawica zalała pociąg błyskami, straszliwy krajobraz wyłonił się ze wszystkich stron.

- Smok, Le Drac! – wykrzyknął ksiądz Gévresin pokazując na dnie przepaści płynnego węża, pełzającego i wijącego się kolosa pomiędzy skałami i stromiznami doliny. Przez kilka chwil gad prężył się, rzucał się na kwartały skał, które kąsały go, gdy się przedzierał, a wody mieniły się jakby zatrute tymi ukąszeniami, tracąc stalową barwę, bielejąc, pieniąc się, nurzały się w kąpieli huku. Potem rzeka przyspieszała ucieczkę, ciskała się w mroczne gardziele, znowu w blasku słońca zwalniała pęd po żwirowym łożysku i rozlewała się na boki. Gromadziła w jedno rozbiegane strugi, powracała na swój szlak, zrzucała z siebie łuski podobne do śmietanki mieniącej się wrzącym ołowiem. Dalej zaś rozpuszczała swe pierścienie i znikła niczym wąż w czasie wylinki pozostawiający za sobą na ziemi biały naskórek nakrapiany kamykami: skórę z suchego piasku.

Uwieszony na drzwiach wagonu, Durtal pogrążał się wprost w otchłani. Jadąc wąskim, jednotorowym szlakiem pociąg mijał z jednej strony masywy kamiennego miasta, a z drugiej – pustkę. - Panie jedyny! – mówił do siebie – A gdyby się wykoleił! Miazga!

Nie mniej niż potworna kipiela przepaści powalał – gdy podniosło się wzrok – widok wścieklej nawały górskich szczytów. W tym wagonie było się między niebem a ziemią. Pasażer mknął po niewidzialnym

gruncie wypełnionym całkowicie wnętrzem pociągu. Wszedł się – zawieszony w powietrzu – na zawrotne wysokości, na kolejne balkony bez poręczy, a poniżej pionowe zbocza opadały lawiną, nagle się urywając, nagie, pozbawione roślinności, choćby jednego drzewa. Miejscami wyglądały jak wyrąbane siekierą w bezmiernych bryłach skamieniałego drewna. Gdzie indziej wycięte były w odartych blokach łupku.

Wszędzie naokoło rozpościerał się bezkresny okrąg gór zakrywających niebo, piętrzących się jedna na drugiej, przegradzających wędrowną chmurom, powstrzymujących niebo w marszu. Jedne widoczne były całkiem nieźle ze swymi poszarpanymi grzebieniami, gigantyczne zwaliska morskich muszli. Inne, z wierzchołkami żarzącymi się jak stosy koksu, w połowie swej wysokości zieleniały. Stroszyły się świerkowymi lasami wylewającymi się poza przepaść, posiekane białymi krzyżami dróg, usiane tu i tam norymberskimi zabawkami, wioskami o czerwonych dachach, kamiennymi owczarniami gotowymi rzucić się głową w dół, lecz – nie wiedzieć jak – utrzymującymi równowagę, rozsypanymi po przylepionych do stoków skrawkach zielonego dywanu. Inne wznosiły się sztywno podobne do gigantycznych wapiennych żaren, ze źle wygaszonymi kominami, z żarem tłącym się w środku, z obłokami dymu, które uchodziły z czubków.

Posępny był to krajobraz. Wpatrując się weń odczuwało się niezwykle niepokój, może dlatego, że wywracał tę ideę nieskończoności, którą mamy w sobie. Nieboskłon był zaledwo odłożonym na bok dodatkiem, nawet odpadkiem na opuszczonym szczycie gór, a otchłań stawała się wszystkim. Czyniła z nieba drobnostkę, a splendor wieczystych przetworzy zastępowała ogromem swych czeluści.

W konsekwencji wzrok odwracał się z rozczarowaniem od nieba, które zatraciło bezden swych głębin, bezmiar swych przestworzy, bo góry wydawały się go dosięgać, wnikać w nie i je dźwigać. Kruszyły je, piłowały wyszczerbionymi zębami swych grzebieni, przepuszczając najwyżej skąpe obrzynki błękitu, ledwie strzępy chmur.

Chcąc nie chcąc wzrok obracał się ku przepaściom, a wtedy głowa opadała, aby wpatrywać się w niezmierzone jamy nocy. Bezmiar ten – przemieszczony tym sposobem, zabrany z wyżyn na niziny – był straszliwy!

- Le Drac – powiedział wtedy ksiądz – jest jednym z najniezwyklejszych potoków we Francji. Teraz wygląda łagodnie, niemal jakby wysechł, niechże jednak nadejdzie pora wichrów i śnieżyc, a on przebudzi się, zaperli niby strumień srebra, zaświszcze, rozbucha się, spieni, rozhasa, jednym haustem pochłonie ludzkie sadyby i siedliska.

- Szkaradny – pomyślał Durtal. Ta rzeka goryczy powinna przepędzać gorączkę. Jest zaklęta, przegniła z tymi swoimi mydlanymi plamami, z tymi metalicznymi odcieniami, tymi odłamkami tęczy rozpryskanymi w błocie.

Durtal przeżywał na nowo wszystkie te szczegóły. Zamykając powieki widział naprzeciw siebie Smoka i La Salette. Można szczić się pielgrzymami, którzy zapuszczają się w odludne strony i idą się modlić tam, gdzie było objawienie, bo – skoro już przyjdą – zamyka się ich na mizernej równi nie większej niż plac Saint-Sulpice, ograniczonej z jednej strony kościołem z surowego marmuru pociągniętego zaprawą barwy musztardy z Valbon, a z drugiej strony – cmentarzem. A widnokreśli? Suche i popielate stożki, porowate kamienie porośnięte czasem szorstką trawą. A wyżej jeszcze zeszlone bloki lodu, wiecznego śniegu. A z przodu kawałek wyleniałego trawnika z piaskiem jak plamy grzyba. Ażeby ten pejzaż podsumować dość rzecz: łysina na przyrodzie, trąd na krajobrazie!

Jeżeli chodzi o sztukę, na tym małym skrawku promenady, obok źródła ujętego w rury z kurkami, wznoszą się w trzech miejscach figury z brązu. Jedna dziwacznie wystrojona Matka Boska, z jakąś formą do pieczenia na głowie, a może w czapce zimowej, płacze klęcząc z głową skrytą w dłoniach. Jest też druga Madonna, stojąca, z dłońmi wsuniętymi po zakonnemu w mankiety. Patrzy na dwójkę dzieci, do których przemawia. Maksymin z fryzurą pudła obraca w palcach kapelusz w kształcie placka, Melania jest wbita w niezgrabny czepek z falbanką, a z nimi pies niczym z masy papierowej, ale z brązu. I jeszcze jedna Piękna Pani samotna, wyprostowana na czubkach palców podnosi w melodramatycznej pozie oczy ku niebu.

Nigdzie ten straszny pęd ku brzydocie, który teraz hańbi Kościół, nie dał o sobie znać tak stanowczo, jak w tym miejscu. I jeśli – w obliczu natrętnej obrzydliwości tych grup rzeźbiarskich wydumanych przez niejakiego pana Barrême z miasta Angers i odlanych fabryce lokomotyw w Le Creusot – dusza mogła zawyć, ciało też cierpiało na tym płaskim szczycie, w tym natłoku masywów, które zasłaniały widoki.

A jednak tam właśnie wnoszono tysiące chorych, tam zmagali się oni z okropnym klimatem, który w lecie praży żarem słonecznym, gdy w ciemnym kościele o parę kroków można zamarznąć. Pierwszy i największy z cudów w La Salette polegał na tym, że tłumy wtargnęły na to alpejskie urwisko. Wszystko bowiem zjednoczyło się, aby im na to nie pozwoli! Tłumy zaś przybywały przez lata, póki nie pochłonęło ich zaborczo Lourdes, bo od tamtego nowego objawienia Panny Najświętszej datuje się schyłek tego miejsca.

Dwanaście bowiem lat po zdarzeniu w La Salette Maryja ukazała się już nie w Delfinacie, tylko tym razem w głębi Gaskonii. Po Matce Łez, po Pani Siedemkroć Bolesnej, mamy oto Madonnę uśmiechów, Niepokalane Poczucie, Dzierżycielkę chwalebnych Radości. Tam Ona także wyjawia pasterczce istnienie źródła, które leczy choroby.

I tu właśnie zaczynają się dziwy. Można powiedzieć, że Lourdes jest zupełnym przeciwieństwem La Salette. Widok jest wspaniały, okolice toną w zieleni, oswojone góry zachęcają do wizyty. Wszędzie cieniste aleje, wyniosłe drzewa, bijące źródła, łagodne stoki, szerokie i bezpieczne drogi, dla wszystkich dostępne. Zamiast pustkowiec miasto pełne wszystkich zasobów niezbędnych chorym. Do Lourdes dociera się bez podróży pośród roju insektów, bez noclegów w wiejskich gospodach, bez znoszenia jazdy dryndą po wybojach, bez wspinaczki krawędziami przepaści. Jest się na miejscu ledwie wysiadłszy z pociągu.

To miasto jest więc cudownie wybrane, aby przyciągać tłumy i nie wydawało się odtąd konieczne, aby Opatrzność z taką mocą interweniowała, aby je sprowadzić. Bóg zaś, który wylansował La Salette nie uciekając się do światowej reklamy, zmienia taktykę; reklama wkracza na scenę wraz z Lourdes. To właśnie jest mylące.

Jezus zdaje się na marne dzieła ludzkiej przemyślności, akceptuje odpychające chwytły, którymi posługujemy się promując produkt lub biznes!

Zadajemy sobie pytanie, czy to nie jest przypadkiem najsurowsza lekcja pokory, jakiej udzielono człowiekowi, i najgwałtowniejszy wyrzut względem współczesnego amerykańskiego plugastwa... Bóg zniża się raz jeszcze do nas, do przemawiania w naszym języku, do stosowania naszych wynalazków, każe się wysłuchiwać, żebyśmy byli Mu posłuszni. Bóg nie stara się nawet wytłumaczyć nam samodzielnie swoich planów, wywyższyć nas ku sobie!

Jest to fragment powieści *Katedra* Jorisa-Karla Huysmansa